

Pełnił pan wielokrotnie funkcję doradcy rządów III RP. Czy pana rady były uwzględniane?

- W pierwszym tomie monografii poświęconej transformacji ustrojowej w Polsce po roku 1989 prof. Tadeusz Kowalik stwierdza, że mój wpływ jako doradcy na podejmowane przez rządy III RP decyzje - w porównaniu z wpływem polskich ekonomistów na rząd PRL-u, jak Michała Kaleckiego czy Oskara Lange, ale także Josepha Stiglitz, szefa doradców gospodarczych prezydenta Clintona - był bez porównania większy. W przypadku Leszka Balcerowicza, gdy ten był wicepremierem i ministrem finansów, moja funkcja doradcza nie była specjalnie trudna, gdyż mieliśmy bliskie poglądy na to, co trzeba zrobić. Mimo tego, że nasze wcześniejsze doświadczenie akademickie i polityczne było inne. Ja od połowy lat 60. byłem członkiem opozycji politycznej i między innymi z tego powodu musiałem wyjechać za granicę, gdyż nie mogłem znaleźć pracy w Polsce.

- Nikt nie zaproponował panu pracy w Instytucie Marksizmu-Leninizmu?

- Wolne żarty, choć w pewnym momencie sugerowano mi Instytut Ziemniaka, ale tam mnie nie chciano. Próbowałem zatrudnić się na poczcie...

...jak Witold Gombrowicz..

...ale też nic z tego nie wyszło. Próbował w sprawie mojego zatrudnienia coś zdziałać Bronisław Minc, wtedy dyrektor Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN...

..brat Hilarego Minca?

Tak jest, ale też nic nie zdziałał, bo po konsultacjach z Andrzejem Werblanem - kierownikiem wydziału KC ds. nauki i szkolnictwa - usłyszał, że nie wolno mu mnie zatrudnić. Na nic się również zdały zabiegi pani Eugenii Krzeczkwoskiej-Szyr, która chciała mnie zatrudnić w GUS-ie, w zakładzie statystyczno-ekonomicznym Leszka Zienkowskiego.

- Nie udało się przy takich protektorach?

- Nie udało się. Ale właśnie w tym czasie poznałem wiele osób, które później - jak Jacek Kuroń czy Waldek Kuczyński - stały się znaczącymi postaciami środowisk opozycyjnych, a w roku 89 i latach następnych zaczęły odgrywać w Polsce dużą rolę. Moje kontakty z opozycją były dużo silniejsze niż Leszka Balcerowicza.

Przez wiele lat doradzał pan zmieniającym się rządów III RP, w końcu jednak zdecydował się pan zostać demiurgiem. Zgodził się pan objąć - choć na krótko - stanowisko wiceministra finansów w rządzie Donalda Tuska. Czy to była pierwsza tego typu propozycja?

Wcześniej nikt nie proponował mi wejścia do rządu. Zgodziłem się, bo nigdy nie unikałem odpowiedzialności. Kiedy byłem doradcą bardzo często w środkach masowego przekazu

wyjaśniałem publicznie skąd się biorą moje rady, bo traktowałem siebie jako doradcę polskiego społeczeństwa. Bardziej niż jako doradcę takiego czy innego ministra czy premiera. To oczywiście stwarzało niekiedy problemy, bo każda ekipa chce mieć swoich, którzy myślą przede wszystkim o interesie ich rządu i partii. Kogoś, kto wyraża zbyt niezależne poglądy można akceptować - choć czasami z trudem - jako doradcę.

Jan Krzysztof Bielecki - znacząca postać w rządzie Donalda Tuska - stwierdził ostatnio, że najważniejsze elementy transformacji ustrojowej mamy już za sobą i że czekają nas już tylko drobne korekty. Czy w gospodarce mamy już rzeczywiście posprzątane po komunizmie?

Bardzo dużo zrobiliśmy, ale jest jeszcze sporo do zrobienia. W końcu w 2005 roku zostaliśmy przyjęci do UE w oparciu o diagnozę zewnętrzną, że polska gospodarka jest już gospodarką rynkową, że nie odbiega w jakiś istotny sposób od innych gospodarek rynkowych tej tzw. starej Europy. Musieliśmy dostosować setki ustaw, aby spełnić określone kryteria. Jeżeli chodzi zatem o system instytucjonalny i prawny, zgodziłbym się z tą ogólną oceną Bieleckiego.

Jeśli dokonać porównania dwudziestolecia międzywojennego i dwudziestolecia po roku 1989 , to nie mamy chyba szczególnych powodów do samozadowolenia.

Kiedy odzyskiwaliśmy niepodległość w roku 1918 sytuacja też była bardzo trudna. W dziedzinie odbudowy państwa, stworzenia niezbędnych dla jego funkcjonowania instytucji - bardzo wiele w okresie międzywojennym zostało zrobione. Ale też wiemy, że był kryzys w latach 30. i że względna pozycja Polski w Europie nie ulegała w ciągu tych 20 lat jakiejś znaczącej poprawie. PKB specjalnie nie wzrosło, tym bardziej na głowę. Tu i ówdzie były drobne sukcesy jak Gdynia, COP, było sporo wynalazków, ale mieliśmy też spory zasób inteligencji we Lwowie, Wilnie, Krakowie, Warszawie..

W roku 1989 mieliśmy też niezwykle trudną sytuację, porównywalną jeśli chodzi o skalę trudności do tego, co było w roku 1918. Mieliśmy skrajnie nieefektywny system gospodarczy i kompletną zapaść w relacjach gospodarczych, szczególnie finansowych, z zagranicą. Polska była bankrutem. W czasie wojny straciliśmy dużo kapitału ludzkiego, w tym dużą część inteligencji. Po wojnie pojawiła się wprawdzie nowa inteligencja, ale ta nie była dobrze przygotowana do radzenia sobie w warunkach gospodarki rynkowej. Nie znała dobrze języków, dopiero musiała się uczyć zasad gospodarki rynkowej i prowadzenia przedsiębiorstw w warunkach konkurencyjnych. Brak przygotowania merytorycznego i prorynkowych przyzwyczajeń nie dotyczył tylko kadry, ale też pracowników. Nie było odpowiedniej etyki pracy. Jak wiemy obowiązywała etyka unikania solidnej pracy, bo był stan pełnego zatrudnienia. Te wszystkie rzeczy tworzyły niezwykle trudną sytuację na początku okresu transformacji. I prawdę mówiąc największą niespodzianką - czymś czego początkowo nie przewidywałem, przynajmniej w takim zakresie - była eksplozja nowego sektora prywatnego, tego bardziej innowacyjnego, bardziej przedsiębiorczego. Tu się uruchomił silnik rozwoju , bo w sektorze przedsiębiorstw państwowych, ale także spółdzielczych, mieliśmy przecież bardzo szybkie kurczenie się zatrudnienia i produkcji. Natomiast sektor prywatny zaczął zwiększać produkcję w tempie 20-30 procent rocznie - przez szereg lat. Dosłownie w ciągu 2-3 lat pojawiło się około milion przedsiębiorstw, w większości bardzo drobnych, z których część z czasem stało się średniej wielkości przedsiębiorstwami. Gdy potem doszły inwestycje zagraniczne, nasza względna pozycja w stosunku do Starej Europy zaczęła się polepszać. Jeśli chodzi płace nominalne liczone w

dolarach , to skok jest ogromny. Latem 1989 było to jakieś 20 dolarów na miesiąc, teraz jest około tysiąc dolarów na miesiąc. Chociaż realna zmiana jest dużo mniejsza, to i tak jest znaczna. Dzisiaj PKB na głowę szacujemy gdzieś w okolicy połowy tego co mają kraje Starej Europy. A wtedy, w 1989 roku, to było gdzieś w okolicy 1/3. Stworzyliśmy system instytucjonalno-prawny umożliwiający posuwanie się dalej wzdłuż ścieżki stosunkowo szybkiego wzrostu - gdzieś około 4-4,5% rocznie. A ponieważ w międzyczasie Europa Zachodnia zwolniła do około 2% rocznie , to nasz dystans do tych krajów będzie nadal systematycznie malał.

Gdy został pan ministrem w rządzie Donalda Tuska, jak wtedy oceniał pan stan finansów publicznych?

Początkowo moje oceny były dosyć optymistyczne. Byłem głównym autorem pierwszego programu konwergencji rządu Tuska - zatwierdzonego przez rząd pod koniec marca 2008r i przesłanego KE . W programie tym założyliśmy powolne zmniejszanie deficytu budżetowego o pół punkta procentowego rocznie - do 1 procenta. Ale też założyliśmy tempo wzrostu 5% rocznie. Wiedzieliśmy, że ten plan jest dosyć napięty, były nawet głosy wątpliwe w realność tych założeń. Byłem przeciwnikiem silnego obniżenia dochodów do budżetu i zalecałem, jeszcze nie będąc w rządzie, aby nie realizować drugiej obniżki składki rentowej. A jeśli już - to przy równoczesnych działaniach zmierzających do obniżenia wydatków. Jednak takich działań nie podjęto. A przecież pod koniec rządu Jarosława Kaczyńskiego mieliśmy decyzje parlamentu, w większości poparte przez PO, których łączny koszt dla finansów publicznych wynosi rocznie około 40 mld złotych. I to one stały się ważnym powodem dużego wzrostu deficytu finansów publicznych. Oczywiście na to nałożyły się trzy inne rzeczy: silny wzrost publicznych wydatków inwestycyjnych, wzrost zatrudnienia i płac w sferze budżetowej oraz efekty spowolnienia gospodarczego.

Zakładałem, że w sposób konsekwentny i zdecydowany zaczniemy dyscyplinować wydatki. Oczywiście zdawałem sobie sprawę z ograniczeń politycznych, że propozycje ustawowe mogą być wetowane przez prezydenta. Ale liczyłem na zdolność polityczną premiera Tuska, że w razie takiego weta wejdzie w doraźną koalicję np. z SLD, w konsekwencji czego parlament takie weto odrzuci. Z czymś takim mieliśmy w końcu do czynienia w przypadku ustawy o emeryturach pomostowych. Ale to była tylko jedna taka sytuacja. W przypadku ustaw zdrowotnych, kiedy razem z ministrem Rostowskim nalegaliśmy na daleko idącą reformę, weto prezydenckie nie zostało odrzucone..

Czy to było powodem pańskiego odejścia z ministerstwa finansów?

Moja dymisja nie była formą protestu. Raczej wyciągnięciem konsekwencji z faktu, że to co zamierzałem nie da się niestety zrobić, bo są silne ograniczenia polityczne: obawa przed retorsją ze strony politycznej opozycji i obawa o reakcję ze strony elektoratu. Parasol polityczny jest reformatorom potrzebny jak powietrze, a jeśli go nie ma - reform nie można przeprowadzić. Nie może tego zrobić ani doradca, ani minister, ani nawet premier.

Będę się jednak upierał, że obecnie rządząca ekipa(poprzez wspomnianą wypowiedź Jana Krzysztofa Bieleckiego) wysłała do społeczeństwa komunikat, że wszystko jest w gospodarce już w miarę dobrze poukładane i żadne - w domyśle gwałtowniejsze czy istotniejsze zmiany - nie są potrzebne, a tym bardziej planowane. Doraźny kontekst polityczny takiego komunikatu - na kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi - jest oczywisty, gdyż wszelkiego rodzaju istotne reformy łączą się na początku z kosztami społecznymi. Odrzucmy jednak kontekst polityczny: czy w Polsce potrzebne są istotne

zmiany i reformy, czy też rzeczywiście możemy poruszać w się zakresie kosmetyki i adiustacji tego co już jest?

Ten język małych kroków, który przyjęli politycy obecnej koalicji, to przekonanie, że już skończył się czas dużych reform - nie bardzo mi się podoba. Między innymi dlatego, że jest próbą usprawiedliwienia małej aktywności, że ma demobilizujący wpływ. A przecież w ciągu ostatnich 10 lat - od czasu rządu Jerzego Buzka - zrobiono bardzo niewiele i zaczęły się gromadzić problemy, których rozwiązanie czy usunięcie wymaga bardziej zdecydowanych działań. Dzisiaj potrzebne jest wyraźne zdefiniowanie tych problemów i nie owijanie spraw w bawełnę.

W Polsce mamy wielką ilość tzw. programów strategicznych, tworzonych przez różne ministerstwa i gdy czytam te programy, to one mówią niemal wyłącznie o celach, niewiele o metodach realizacji. Jak mówimy o reformach emerytalnych to wiemy, że potrzebne są zupełnie nowe działania, np. podniesienie efektywnego wieku emerytalnego, czy sprawa włączenia do powszechnego systemu emerytalnego tych grup, które zostały wyłączone (emerytury wojskowe, pracowników wymiaru sprawiedliwości, czy KRUS). Chodzi o ważny obszar wymagający działań, bo mamy narastającą zapaść finansową w filarze I. Mamy bardzo duży deficyt sektora finansów publicznych. Potrzebne są więc działania ustawowe, które to by zmieniły. Mamy problem w służbie zdrowia. Jest pytanie w jakim kierunku powinny zmierzać zmiany. Czy ograniczać popyt poprzez większe finansowanie bezpośrednio zainteresowanych, czy też nie? Mamy przerosty zatrudnienia w administracji oraz w szkolnictwie podstawowym i średnim. Mamy nieefektywny system wymiaru sprawiedliwości. Mamy ogromne problemy w infrastrukturze. Mamy potencjalny kryzys w sektorze energetycznym. Mamy niedokończone prywatyzacje. Długa jest lista spraw wymagających działań, a w niektórych przypadkach bardzo zdecydowanych działań.

Wokół OFE toczy się obecnie spór. A na horyzoncie - znowu wcale nie tak odległym – perspektywa dramatycznej bomby demograficznej.

Zdawaliśmy sobie już z tej bomby sprawę 12 lat temu, gdy toczyliśmy dyskusję na temat reformy emerytalnej. Podstawową odpowiedzią na problem demograficzny była reforma w filarze I, polegająca na wprowadzeniu indywidualnych kont i w konsekwencji - powiązania przyszłej emerytury ze zgromadzoną przez lata składką. Drugi filar był tylko dodatkiem, to nie była centralna idea tamtej reformy. Od samego początku było jasne, że w rezultacie reformy filaru I, przy tej samej relacji składki do płac i tym samym wieku emerytalnym, relacja emerytur do płac będzie maleć. Liczyliśmy na to, że przyszli emeryci zaczną pracować dłużej, aby wypracować wyższą emeryturę w relacji do płac..

Ta relacja przed wprowadzeniem reformy wynosiła gdzieś około 60-70 procent, teraz - bez podniesienia wysokości składki - spadnie do 30 procent.

Tak jest. Byłem jednym z animatorów tej reformy i oczywiście zdawałem sobie sprawę, że jeśli nie będzie wzrostu wieku emerytalnego i wysokości składki, to ta relacja spadnie. Ale sami zainteresowani mogli temu przeciwdziałać przedłużając swój czas aktywności zawodowej. Politycy też mogli temu przeciwdziałać przez podniesienie składki - obciążając tym obecnie pracujących. Bo cudów nie ma i nie da się, bez wydłużenia czasu pracy i/lub podniesienia składki, mieć większe emerytury w relacji do płac.

Na taką „szczerłość” żaden rząd się nie odważy, nie tylko przed wyborami parlamentarnymi.

Mamy dzisiaj różnego rodzaju bariery w rozwoju gospodarczym i wprowadzając niezbędne reformy możemy oczekiwać, że pozytywne ich skutki będą rozłożone w czasie. Wśród tych długofalowych zmian, widziałbym przede wszystkim reformy emerytalne. Zauważmy, że w Polsce mamy stosunkowo mało pracujących, ale też mamy dwie duże rezerwy siły roboczej. Jedna rezerwa jest w małych miasteczkach i wsiach, gdzie mamy duże bezrobocie, zarówno jawne, jak i ukryte. W rolnictwie zatrudnionych jest ok. 15 procent Polaków, gdy z powodzeniem wystarczyłoby ok. 5 procent (w Wielkiej Brytanii podobną produkcję dostarcza tylko jeden procent ludzi w wieku produkcyjnym). Mamy więc 10 procent siły roboczej, którą można by uaktywnić, a to oznacza 1,5 mln ludzi. Drugą rezerwą siły roboczej mamy w dużych miastach, gdzie bezrobocie jest stosunkowo małe, ale stopień aktywności zawodowej niski, spowodowany głównie zbyt wczesnym przechodzeniem Polaków na emeryturę. Stopień aktywności zawodowej w Polsce jest o jakieś 8 punktów procentowych niższy niż w Europie Zachodniej. Zbliżając się w tym względzie do europejskich standardów, będziemy mieli dodatkowo jakieś 1,5 mln ludzi. W sumie te dwie rezerwy pracowników to około 3 mln osób. Jest jeszcze jedno źródło zatrudnienia. Polska należy dzisiaj do krajów praktycznie bez imigrantów, więc moglibyśmy trochę szerzej otworzyć granice - szczególnie dla braci Słowian z Ukrainy i Białorusi, przyciągnąć stamtąd co bardziej wykształconych młodych ludzi w liczbie 1,5-2 mln.

Problem przyszłych emerytur można więc rozwiązać poprzez większą aktywizację wspomnianych 3 mln ludzi, a także otwarcie się na imigrantów zarobkowych. Możemy w rezultacie zwiększyć zatrudnienie o około 30 procent. Tego się rzecz jasna nie da zrobić w ciągu kilku lat. Ale możemy to zrobić w ciągu jakiś 20-30 lat. Bo to jest proces długotrwały. Wraz z oczekiwanym wydłużaniem czasu życia, powinien rosnąć też wiek emerytalny.

W Polsce nie ma tradycji oszczędzania pieniędzy. Co powinno robić państwo, żeby tworzyć bodźce zachęcające do Polaków do oszczędzania?

Polacy są akurat podobni do Amerykanów, którzy też nie mają silnej skłonności do oszczędzania. Mamy tylko 5-10 procent Amerykanów i 5-10 procent Polaków, którzy dysponują dużymi oszczędnościami. Więc Panu chodzi o te 50-60 procent uboższych Polaków. Ci istotnie mają bardzo niewielkie oszczędności. Co zrobić, żeby to zmienić? Pierwszy krok został już zrobiony - właśnie w sprawie emerytur. Chcemy zachęcić ludzi do odpowiedzialności za własną przyszłość. Ale reguły gry muszą być jasne. Jeżeli będziemy np. zabierać emerytury ludziom, którzy pracują - to jestem temu przeciwny. Jeżeli mamy rencistę, który z uzasadnionych powodów otrzymuje rentę, a równocześnie uważa, że jest zdolny do pracy, znalazł zatrudnienie i chcemy mu cofnąć rentę - też jestem przeciwny. Trzeba być jednak konsekwentnym i nie mówić bez końca rolnikom, że z budżetu zapłacimy za ich emerytury. A w tej chwili 96% wydatków KRUS jest pokrywane przez innych. Te dopłaty z UE czy budżetu na dużą skalę są oczywiście wielką pomocą dla rodzin na wsi, ale jednocześnie demoralizują, zmniejszając presję na tych młodszych, żeby się kształcili i szukali innych możliwości zarabiania.

Istotną sprawą jest również zmiana sposobu myślenia, a zwłaszcza działania, jeśli chodzi o pomoc społeczną. Tutaj państwo opiekuńcze musi być ograniczone do sytuacji, w których

pomoc jest uzasadniona i niezbędna. Jak mówimy o „becikowym” to nie może być ono kierowane do każdego. Wszystkie nasze ustawy w obszarze pomocy społecznej powinny być prześwietlone z tego punktu widzenia.

Jaka będzie przyszłość dolara jako waluty światowej, bo widać wyraźnie, że znalazł się na zakręcie?

Rzeczywiście jest na zakręcie i inwestorzy muszą brać pod uwagę możliwość kontynuacji nieodpowiedzialnej polityki fiskalnej i monetarnej Stanów Zjednoczonych. Jednak póki co rząd amerykański może korzystać z ogromnego kapitału zaufania, nagromadzonego przez ostatnie dwa stulecia. I ten kapitał m.in. powoduje, że rentowność amerykańskich papierów skarbowych jest niska. Koszt obsługi bardzo szybko rosnącego długu publicznego jest także niski. Jest duża różnica między USA i Japonią. W Japonii dług publiczny jest nawet dużo wyższy niż w USA w relacji do PKB, ale rząd Japonii zapożycza się niemal wyłącznie na rynku krajowym. Dług publiczny nie jest długiem zagranicznym. To jest zasadnicza różnica. Akurat Japończycy bardzo dużo oszczędzają i japońskie banki oraz bezpośrednio gospodarstwa domowe inwestują te pieniądze w japońskie papiery skarbowe. Więc gdyby doszło do złamania zaufania - straciliby Japończycy. Byłby to pewnie kryzys, ale nie totalny, i nie rozlałby się po świecie. Natomiast w przypadku USA sytuacja wygląda inaczej. Sytuacja w Stanach, zachowując proporcje, przypomina przypadek Polski za czasów Gierka, kiedy dług nie był nawet aż tak ogromny, ale był praktycznie w stu procentach zagraniczny. W takiej sytuacji ważna jest wiarygodność na międzynarodowych rynkach finansowych. Taką wiarygodność jest trudniej utrzymać i gdy dochodzi do jej załamania, to koszt obsługi długu idzie bardzo mocno w górę.

Co zrobią Amerykanie? Czy pójdą na jakieś bardzo istotne cięcia? Mamy tutaj przykład Wielkiej Brytanii, który pokazuje, że kraje z dużym doświadczeniem w finansach publicznych są w przypadku zagrożenia zdolne do działań bardzo drastycznych. I być może dotyczyć to też będzie Stanów Zjednoczonych. Jeżeli nie za czasów Baracka Obamy, to za kadencji następnego prezydenta.

Czy jest prawdopodobne, co prognozują, a nawet postulują niektórzy ekonomiści, że w celu obrony wiarygodności dolara jako waluty światowej, nastąpi jego ponowne „zakotwiczenie” w złocie?

Nie ma obecnie na świecie takiej ilości złota, by dać zabezpieczenie amerykańskiemu dolarowi. To zabezpieczenie musi dać gospodarka amerykańska, podatnicy amerykańscy i zdolność tego kraju do obsługi długu. Ta zdolność nie jest narazie kwestionowana. Ten dług zresztą jest narazie poniżej 100% PKB. Bogactwo USA jest ciągle bardzo duże, więc ci którzy dysponują amerykańskim długiem publicznym nadal mogą stosunkowo łatwo zamienić ten dług na udziały w prywatnych amerykańskich przedsiębiorstwach, na ziemię, na domy.. Nie spodziewam się jakiegoś wielkiego kryzysu finansów publicznych w ciągu najbliższych kilku lat, a trochę później przewiduję podjęcie przez rząd amerykański działań stabilizacyjnych zmniejszających deficyt budżetowy i wobec tego także przyrost długu publicznego.

Jeśli chodzi o politykę monetarną, to amerykański bank centralny zdecydował się na tzw. quantity easing, czyli dodrukowywanie pieniędzy na dużą skalę. Dobrze to znamy z czasów wielkiej eksplozji monetarnej i inflacji w Polsce w r 1989. W Stanach Zjednoczonych na razie nie prowadzi to do wysokiej inflacji ponieważ jest duża ostrożność ze strony gospodarstw domowych i przedsiębiorstw do zaciągania kredytów nawet przy obecnie niskich stopach procentowych. Ale nie jest wykluczone, że presja inflacyjna zacznie rosnąć i

kluczowa w takiej sytuacji będzie reakcja amerykańskiego banku centralnego. Podobnie zresztą jak w Europie, gdzie kluczowa będzie reakcja Europejskiego Banku Centralnego, który też skupował w ostatnich latach duże ilości papierów emitowanych przez rządy, a nawet przez przedsiębiorstwa. Zakładam w tej chwili, że oba te banki centralne zachowają się tak jak ekonomiści zalecają, tzn. zaczną sprzedawać na rynku wtórnym nagromadzone papiery. To spowoduje spadek cen tych papierów, czyli podwyższenie rentowności skarbowych papierów wartościowych. W ten sposób wzrośnie koszt obsługi długu publicznego, co z kolei stworzy silną presję na rządy aby zmniejszyć deficyt. Ten mechanizm zadziałał już bardzo mocno i boleśnie w przypadku Grecji i Węgier. Zadziałał także w przypadku Irlandii, Hiszpanii i Portugalii. To jest tzw. rynkowy mechanizm dyscyplinowania, który jeszcze nie zadziałał w USA i w Europie Zachodniej wśród wysoko rozwiniętych krajów, ponieważ nie ma narazie dobrych powodów by on zadziałał, bo są one „pod osłoną” wspomnianego kapitału zaufania.

Czyli Amerykanie nie będą się spieszyć?

Jeżeli USA będą zbyt długo zwlekać, to dolar będzie tracił. Nie znaczy to jednak, że chiński juan go zastąpi. Chiny zakupiły dużą ilość amerykańskich papierów skarbowych za około 2 bln USD, ale to jest jakieś 20 procent długu amerykańskiego. Jeżeli zaczną sprzedawać te papiery - to stracą. Przypuszczam, że narazie oni zakładają, że za jakieś 5-10 lat kolejny rząd amerykański doprowadzi do sytuacji stabilnej w obszarze finansów publicznych i nie będzie spadku cen amerykańskich papierów wartościowych, nie będzie strat dla Chin.

Nie mam wątpliwości, że rola gospodarcza Chin będzie rosła. Tym niemniej PKB Chin, to dzisiaj według rynkowego kursu juana zaledwie 1/3 PKB amerykańskiego. Według parytetu siły nabywczej juana, PKB na jednego mieszkańca Chin jest to nadal stosunkowo niewielkim ułamkiem odpowiedniego poziomu amerykańskiego. Dodać w tym miejscu warto, że jeśli chodzi o produkcję ważnych międzynarodowych innowacji i patentów, to Chiny jeszcze prawie nie istnieją na rynku światowym.

Od dobrych już kilku lat Chiny są w pełnym rozpędzie rozwoju gospodarczego, a Państwo Środka jakby nawet nie zauważyło ogólnoświatowego kryzysu. Nieustannie prą do przodu, a na liczniku – 10 proc. przyrostu PKB.

Japonia w latach 60. też była tak rozpędzona i niektórzy nawet wierzyli, że to się nigdy nie skończy. Wysokie tempo wzrostu było też w Niemczech i Francji. Zakończyło się to w tych krajach na poziomie około ¾ amerykańskiego PKB na mieszkańca. Przy czym różnica ¼ bierze się po części z tego, że Amerykanie pracują więcej godzin rocznie. Po uwzględnieniu tej różnicy w czasie pracy, wspomniane kraje osiągnęły około 90 procent poziomu amerykańskiego. W zasadzie mamy więc do czynienia od około 20-30 lat z pełną konwergencją Starej Europy i Japonii do poziomu amerykańskiego. Czy będziemy mieli do czynienia z tak pełną konwergencją w Chinach - trudno powiedzieć. Może tak, może nie. W Chinach muszą nastąpić jeszcze duże zmiany polityczne oraz instytucjonalne. Jest tam jeszcze dość silny sektor państwowy, szczególnie w przemyśle, który praktycznie musiałby zniknąć. Jest także duża rezerwa wzrostu gospodarczego w postaci siły roboczej znajdującej się na prowincji. Ale drugie źródło to jest transfer technologii i kapitału z zewnątrz. Są tam więc nadal dwa podstawowe czynniki pobudzania szybkiego wzrostu.

Kiedy możliwe jest wejście Polski do strefy euro?

Minister Rostowski ogłosił na początku marca 2011r dość ambitny program rządu Tuska, który zakłada zejście w roku przyszłym z deficytem sektora finansów publicznych do poziomu ok. 3% PKB, z poziomu około 8% w r 2010. Co prawda około ¼ tego zmniejszenia ma być rezultatem kreatywnej księgowości, bo zamiany części długu otwartego na ukryty. Prawdopodobnie będą potrzebne dalsze działania, być może w r 2013, żeby zejść z tym deficytem w sposób trwały do poziomu około 0-2 % PKB. Jeśli ten plan będzie zrealizowany, to wejście do strefy euro w roku 2015 lub 2016 stanie się możliwe. A sama strefa się nie rozpadnie – jak złowroźnie niektórzy przepowiadają, gdyż działania podejmowane w tej chwili są dostatecznie silne, żeby przeciwdziałać takiemu rozpadowi. Źródłem pewnego napięcia w sferze euro jest to, że polityka fiskalna jest w rękach wielu rządów. W okresie ostatniego kryzysu doszło w rezultacie do silnego wzrostu rentowności skarbowych papierów wartościowych w niektórych krajach. Ale jak spojrzymy na dane dotyczące deficytu budżetowego czy długu publicznego w krajach strefy euro, to od czasu powstania tej strefy w roku 1999 nie zaobserwowaliśmy jakichś szczególnie niepokojących symptomów. Grecja była jedynym krajem, gdzie mieliśmy do czynienia równocześnie z bardzo dużym deficytem i dużą relacją długu do PKB.

Pojawia się problem krajów dwóch prędkości?

De facto dochodzi do podziału UE na strefę euro i resztę. Polska jeśli chce odgrywać znaczącą rolę w Europie, to powinna należeć do strefy euro. Światowy kryzys finansowy doprowadził do dużego zróżnicowania rentowności papierów skarbowych różnych krajów. To jest coś nowego. Polska nie może oczekiwać, że tylko przez samo wejście do strefy euro znacznie zmniejszy koszty obsługi swojego długu publicznego. Zmniejszą się na pewno rynkowe stopy procentowe, ale nie koniecznie rentowności, które dalej będą zróżnicowane. To jest nowa rzecz. To jest doświadczenie greckie, hiszpańskie. I to jest koszt tego, że nie ma jednej polityki fiskalnej w skali całej UE, że nie ma jednego rządu. Ale tak musi dalej być. Mechanizm rynkowy będzie odgrywał główną rolę w dyscyplinowaniu poszczególnych rządów. Nie kryteria z Maastricht, ale mechanizm rynkowy.

W Europie tworzymy wielopaństwowy organizm, który w pewnych obszarach współpracuje bardzo blisko, a pewnych obszarach - na przykład w polityce monetarnej - wyjątkowo blisko. Także jeżeli chodzi o wymianę handlową czy rynek pracy, to postęp jest ogromny. Ale jest pytanie - co dalej? A szczególnie co z polityką fiskalną? Kryzys doprowadził do eksplozji deficytu budżetowego i długu publicznego w kilku krajach i powstał problem odpowiedzialności za papiery rządowe. I okazało się że w UE nie ma ani chęci, ani zgody na to, żeby wszystkie kraje brały odpowiedzialność za to, co się dzieje w poszczególnych krajach. Nie mamy i zapewne mieć nie będziemy w UE centralnego rządu. Dlatego kryteria z Maastricht dalej będą ważne, ale odgrywać będą rolę pomocniczą. Natomiast dyscyplinowanie poszczególnych rządów będzie się odbywać przede wszystkim poprzez mechanizm rynkowy. Po ostatnich doświadczeniach Grecji i Irlandii, każdy rząd kraju strefy już wie, że nieodpowiedzialna polityka fiskalna prowadzi do znacznego wzrostu kosztów obsługi długu publicznego, którego inne kraje strefy nie sfinansują.

Czy można zatem powiedzieć, że UE po ostatnich wydarzeniach kraje Eurolandu się czegoś nauczyły?

To na pewno. Instytucje i rządy, ale także rynki finansowe zorientowały się, że są problemy natury instytucjonalnej. Z jednej strony rządy zmuszone zostały do intensywnych działań na rzecz zmniejszenia deficytów, z drugiej - powstały nowe instytucje takie jak

fundusz stabilizacyjny i europejski nadzór bankowy, które będą w razie potrzeby niosły pomoc, ale warunkową i ograniczoną. Euroland ma się opierać na odpowiedzialności indywidualnej poszczególnych krajów, a tę odpowiedzialność wymuszają rynki finansowe. I one już zaczęły to robić.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat mamy do czynienia z niebywałym wzrostem instytucji finansowych, które z definicji mają być tylko narzędziem ułatwiającym funkcjonowanie gospodarki. A prezes dużego amerykańskiego banku zarabia 10-20 razy więcej niż prezydent Stanów Zjednoczonych. Ostatni kryzys wywołała dezynwoltura instytucji finansowych...

W okresie powojennym mieliśmy na świecie około 150 kryzysów makroekonomicznych i finansowych i część z nich była generowana przez sektor prywatny. Dla przykładu, 12 lat temu na Dalekim Wschodzie powodem kryzysu było zbyt duże zadłużenie zagraniczne sektora prywatnego, odpowiedzialne za to były jednak także władze centralne, bo realizowały politykę fixed exchange rate, czyli stałego kursu walutowego. Lokalnie inflacja była wysoka, stopy procentowe wysokie, pożyczano więc za granicą, bo tam były niższe stopy procentowe. Jednak jeśli mamy stały kurs walutowy i zapożyczanie się przedsiębiorstw i gospodarstw domowych w walutach zagranicznych, to nie wystarczy mieć niski deficyt budżetowy. Trzeba mieć nadwyżkę budżetową, niekiedy nawet wysoką, żeby przeciwdziałać możliwej eksplozji popytu wewnętrznego i nadmiernemu zadłużaniu się sektora prywatnego.

w ostatniej dekadzie mieliśmy do czynienia z nazbyt ekspansywną polityką monetarną w takich krajach jak Rumunia, Bułgaria czy kraje bałtyckie oraz z nazbyt ekspansywną polityką fiskalną na Węgrzech. Utrudnieniem w niektórych z tych krajów była polityka sztywnego kursu. Bo ryzyko kursowe dyscyplinuje zarówno przedsiębiorstwa, jak i gospodarstwa domowe w ograniczeniu ekspansji kredytowej.

Uciekł pan trochę od mojego pytania. Powtórzę: czy wzrost instytucji finansowych nie może tworzyć zagrożenia?

Trochę uciekłem, ale jest ziarno prawdy w tym co pan mówi i do pewnego stopnia podzielam pana obawę. Bo w ostatnich latach zdarzało się częściej niż dotąd, że instytucje finansowe działały w sposób nieodpowiedzialny. Dzisiaj najważniejsze jest, aby wyciągnąć właściwe wnioski z tego doświadczenia. Na pewno należy zareagować poprzez zmianę prawa, poprzez odpowiednie regulacje -czego przykładem jest tzw Bazylea III, poprzez monitorowanie, wreszcie poprzez podniesienie standardów dotyczących sprawozdawczości. Za stronę prawno-regulacyjną odpowiedzialne jest państwo. Kryzys ujawnił również potrzebę bardziej wnikliwego przyjrzenia się tzw. nowym finansowym produktom, zwłaszcza w zakresie derywatów. Ryzyko związane z tymi nowymi produktami jest bardzo niejasne. Ci, którzy nimi handlowali, nie bardzo wiedzieli jak duże jest to ryzyko. W związku z tym lepsza analiza ogólnego ryzyka makroekonomicznego, wynikającego z dużej ekspansji tego typu produktów jest absolutnie niezbędna.

Czyli można powiedzieć, że derywatowy Dzin wyskoczył z butelki?.

Tak się wydaje. Pamiętam jak przed około 10 laty doszło do zupełnie niezrozumiałego wzrostu wartości spółek internetowych.. Wielu ludzi na tym dużo straciło, wielu innych dużo zarobiło. Doszło więc do wielkiej redystrybucji bogactwa.

Trzeba mieć świadomość, że rynki nie działają efektywnie w każdym momencie, w każdym dniu i miesiącu. One działają dość efektywnie w średnim i dłuższym czasie. Jeśli zaś chodzi o tzw. nowe produkty finansowe czy całkiem nowe firmy, to z natury rzeczy mamy najczęściej ograniczone informacje i dlatego możemy mieć do czynienia z bankami spekulacyjnymi. W warunkach gospodarki rynkowej musimy się, niestety, z tym pogodzić.